

- Pani Anno, jest grudzień 1989 roku, jest Pani przeziębiona i dzwoni do rektoratu PWST w Krakowie z pytaniem, czy któryś ze studentów nie dostarczyłby jej na ochotnika jakichś lekarstw. W rektoracie znajdują się przypadkiem dwaj studenci z Rzeszowa - jeden studiuje reżyserię, drugi nauki społeczne i czasem przyjeżdża do Krakowa na wykłady prof. Tischnera. Zgłaszają się z „misją” dostarczenia Pani tych lekarstw. Tym drugim studentem jestem ja. Do dzisiaj pamiętam, że ugościła nas Pani kolacją, rozmawialiśmy kilka godzin, a ja dostałem na pamiątkę małą książeczkę z dedykacją: „Dziękujemy! Za przebiegnięcie 472 schodów Bóg zapłać. Anna Dymna i Michałek.”

- No widzi Pan, jak mi zawsze ludzie pomagali bardzo! Kocham ludzi, ale nie jestem w stanie pamiętać wszystkich takich zdarzeń. Spotykam tysiące ludzi i całe życie mam jeden kłopot - zapamiętać wszystkich, których spotkałam. To zresztą normalna przypadłość wszystkich tzw. osób publicznych. Ale coś przez mgłę sobie przypominam. Byłam sama z małym dzieckiem i czasem bez pomocy nie dałabym rady. Nieraz ludzie opowiadają mi o spotkaniach z nimi, a ja nawet nie jestem w stanie wyobrazić sobie, czy to jest prawda, co opowiadają. No ale w tym przypadku mamy piękny dowód na nasze spotkanie, moje pismo, moja dedykacja, chociaż dzisiaj mój podpis wygląda zupełnie inaczej. Jest ze słoneczkiem. Ale czemu się dziwić, minęły 24 lata... w międzyczasie zaświeciło przy mnie słońce.

- Spotkania z ludźmi to część Pani życia...

- Tak, bo przecież jestem aktorką od 44 lat, a od dziesięciu lat mam fundację i grono moich przyjaciół i znajomych ludzi znacznie się w związku z tym powiększyło. Serce to wytrzymuje właśnie dzięki tym spotkaniom, ale mózg ma określoną „wyporność” i nie łapie wszystkiego.

- Ale wie Pani, co mnie wtedy uderzyło? Byliśmy jakimiś młodzieńkami z ulicy, zupełnie nikim, a Pani nas przyjęła jak starych znajomych. I nasza rozmowa była bardzo szczera, ja wtedy pierwszy raz przed kimś i przed samym sobą powiedziałam - na Pani pytanie, co zamierzam robić po studiach - że pewnie będę dziennikarzem. No i sprawdziło się to, co wtedy w mieszkaniu u Anny Dymnej wypowiedziałam. I odkąd już jestem tym dziennikarzem, marzę, aby zrobić z Panią wywiad. Ale Pani jest bardzo trudno osiągalna, trzy lata zabiegałam o to dzisiejsze spotkanie...

Z Anną Dymną - znakomitą aktorką, opiekunką fundacji „Mimo wszystko” - rozmawia Roman Madejowski, redaktor naczelny „Ludzi Sukcesu!”

DRUGI CZŁOWIEK

jest dla mnie najważniejszy cz. I



- Pan mówi, że jestem trudno osiągalna. Ale przecież zdaje sobie sprawę, że cały czas ktoś się chce ze mną spotkać. Jestem aktorką, mam pracę zawodową, z której żyję. Poza tym zajęcia ze studentami, Salony Poezji, które prowadzę. No i od dziesięciu lat prowadzę Fundację „Mimo Wszystko”. I nawet gdyby doba miała 50 godzin, też byłabym cały czas zajęta. Więc to nie jest to, że jestem trudno osiągalna, tylko muszę mieć jakąś hierarchię ważności. Gazet jest tysiące, portali internetowych - jeszcze więcej. Co chwileczkę ktoś się zwraca o wywiad. Szanuję dziennikarzy i ich pracę, ale czasem mam rzeczy ważniejsze od wywiadów. Np. wczoraj miałam tzw. wolny dzień. O 9 rano byłam w Katowicach na spotkaniu z młodzieżą ze szkoły

specjalnej, z ludźmi z opieki społecznej, z dziećmi autystycznymi. To najważniejsze i piękne spotkania. Później byłam w Koszycach, gdzie czytałam wiersze ks. Twardowskiego. Ci ludzie też czekali wiele miesięcy na spotkanie ze mną. Tak więc muszę wybierać, nie dam rady być wszędzie. Zresztą im więcej robię, tym więcej ludzi ma do mnie pretensje. Jesteśmy teraz w biurze fundacji, tutaj codziennie przychodzi minimum 10 e-maili z zaproszeniem na spotkanie w Szczecinku, w Rzeszowie, na wywiad, na odwiedzinę... Mam na kilka miesięcy do przodu wypełniony kalendarz. Wobec tego muszę sobie porządkować - co jest ważniejsze i mniej ważne.

- Nasz wywiad też zawisł na włosku z powodu sytuacji w

Starym Teatrze...

- Tak. Miałam nagle spotkanie. Musiałam nagle zmienić wszystkie plany. Teatr to moja wielka miłość i najważniejsze miejsce. Ale widzi Pan? Udało się. Jak się już umawiam, to jestem trochę zadyszana, ale słowna. Przepraszam więc wszystkich ludzi, którzy na mnie czekają, ale naprawdę nie mogę wszędzie dojechać, wszędzie być, choć serce by chciało. Wczoraj w Koszycach też dostałam 5 zaproszeń...

- Widać więc, że łatwo o rozdwojenie jaźni, bo oddając całe serce na działalność społeczną spotyka się Pani z zarzutami, że „gwiazdorzy”...

- Na szczęście mam do tego dystans, wiem o tym, że tak to już jest. Że im więcej się robi, tym więcej ludzie od ciebie oczekują. Im więcej siebie dajesz, tym wymagają, żeby dawać jeszcze więcej. A ja już nie mam więcej jak dawać, bo nie mam po prostu kiedy. Trzeba więc robić swoje i nie dać się zwariować. Nie dać się zniechęcić. Bo to jest tak - pomagasz komuś, a on ci daje w głowę

- bo chciałby więcej albo chciałby inaczej. Trzeba się uczyć pokory, ja się jej uczę od wielu ludzi. Mam na szczęście przyjaciół, którzy mają ogromną pokorę. Patrzę się na nich - na osoby ciężko chore, niepełnosprawne - oni nie narzekają, cieszą się życiem. I tego się od nich uczę, inaczej dawno bym zwariowała.

- A skąd się bierze ta otwartość na ludzi? To jest kwestia wychowania, tego, co się wyniosło z domu, od najbliższych?

- Taka chyba jestem. Byłam tak wychowywana, że drugi człowiek jest najważniejszy. Moja mama nie prawiała mi żadnych kazań, nie dawała mi zakazów ani nakazów, tylko po prostu - taka była. Dobra, kochana, cicha, skromna. I dzięki Niej - tak jak oddycham, jak jem, jak śpię, tak samo jak ktoś się przewróci, to nie przechodzę obok, tylko pytam: Co ci się stało, może trzeba ci pomóc? To dla mnie odruch od dzieciństwa. Zawsze uważam, czy komuś nie przeszkadzam swoim zachowaniem. To jest najważniejsze - żyć tak, żeby nikomu nie przeszkadzać. A jeśli się mogę komuś przydać, to sprawia mi to wielką radość. I dlatego otworzyłam fundację. Najbardziej mnie bolą ciągle pytania: Aha, pomagasz komuś? Dlaczego? Ludzie w tym upatrują coś podejrzanego. Jak już zobaczą, że to nie jest podejrzané, że nie zarabiasz na tym, to zaczynają mówić: musi w tym być jednak coś innego. A może bo stara, bo nie ma co robić? Albo jeszcze inaczej - musi być Matką Teresą, Aniołem, Matką Boską... Zastanawiam się, dlaczego żyję w świecie, w którym pomaganie nie może być normalne?

Kolejna część rozmowy z Anną Dymną przeczytaj w poniedziałkowym wydaniu naszej gazety. A w nim:

- czy tabloidy chronią aktorkę
- o tym, co jest naprawdę piękne w człowieku
- w jaki sposób Anna Dymna kształtuje młode charaktery.

Ludzie Sukcesu! Ekskluzywny Magazyn biznesowo-lifestyleowy

